



„GLOB”
SPÓŁDZIELNIA PRACY

665

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

ZYCIE WARSZAWY

00-575 Warszawa, Al. Armii Ludowej 3/5,

276 20-11-92

Nr z dn.



CO JEST GRANE

„Cabaret” z Wrocławia

Na scenie Operetki Warszawskiej występuje Teatr Muzyczny z Wrocławia. Dużym powodzeniem cieszy się „Skrzypek na dachu”, prezentowany przez gości już po raz drugi w tym roku, natomiast mniejsze zainteresowanie wzbudził inny słynny musical amerykański — „Cabaret”.

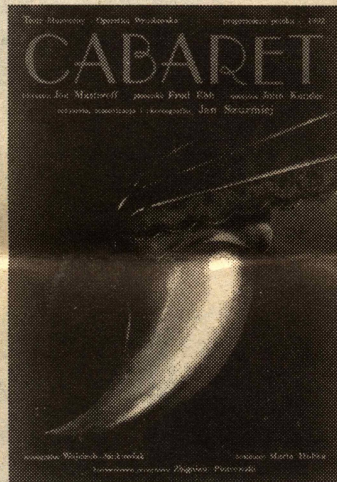
Podejrzewam, że o słabszej frekwencji na „Cabarecie” decyduje dezorientacja. Starsze pokolenie odbiorców pamięta znakomity film Boba Fosse’a z Lizą Minnelli, Michaeliem Yorkiem i Joelem Greyem, ale już niewiele wie o jego pierwowzorze scenicznym. Młodsza generacja już zupełnie nie zaprzęta sobie głowy odległą przeszłością: z licznych telefonów do kasy na Nowogrodzkiej wynika, że część publiczności pod hasłem „Cabaret” domyślała się prawdopodobnie jakiegoś rodzimego programu estradowego — czegoś w rodzaju Pietrzaka, „Elity” czy „Polskiego ZOO”...

Tymczasem „Cabaret” jest z innej, nie za bardzo radosnej bajki, choć to, oczywiście klasyka światowej rozrywki. Dzieje romansu początkującego amerykańskiego pisarza i angielskiej szansonistki w Berlinie, w latach rodzącego się faszyzmu, po raz pierwszy opisał Christopher Isherwood w autobiograficznych „Berlin Stories”, znanych u nas pod tytułem „Pożegnanie z Berlinem”. One z kolei posłużyły Johnowi Vandrutenowi za kanwę cieszącej się w latach 50. sukcesa-

mi sztuki „Jestem kamerą”. Kilku twórców z Broadwayu pomyślało o przeróbce sztuki na musical. Libretto napisał Joe Masteroff, muzykę — John Kander, zaś teksty piosenek — Fred Ebb. 20 listopada 1966 roku, a więc dokładnie 26 lat temu, odbyła się w Nowym Jorku premiera „Cabaretu” w reżyserii Harolda Prince’a. Kilka lat później po ten sam temat sięgnął Bob Fosse, przygotowując najslawniejszą, ekranową wersję.

Realizujący wrocławski spektakl Jan Szurmiej, idąc śladem broadwayowskiego inscenizatora, osadził akcję mocno w realiach Berlina z przełomu lat 20. i 30. Szalone kabarety, jazzbandy, roznieglizowane kobiety, a także długie buty, bryczesy, gesty faszystowskich pozdrowień. Skojarzenia z ekspresjonistycznym malarstwem Otto Dix’a, klimat muzyki bliski twórczości Bertolta Brechta, Kurta Weilla, Paula Dessau. Wrocławianie zdobyli prawa do polskiej premiery (przebijając konkurencyjne starania Jerzego Gruzycy) i odważnie zmierzali się z wielką legendą.

Przedstawienie ma momenty dłużyzn, zasługuje jednak na uznanie za pomysły inscenizacyjne, scenografię, sprawność wykonawstwa. W roli Sally Bowles sprawdza się Hanna Śleszyńska, dziewczyna przypominająca nieco z twarzy młodą Lizę Minnelli. Wojciech Ziembolowski miał chyba jeszcze trudniejsze zadanie: ktoś po Joelu Greyu może bez kom-



pleksów wcielić się w postać Mistrza Ceremonii? Wykonawca trzymał się tego wzoru może zbyt kurczowo, potrzeba mu więcej luzu, samodzielności, ale też sprostał wyzwaniu. Podobnie Jolanta Chełmicka (Fräulein Schneider) i Zdzisław Skorek (Rudolf Schultz), choć wątek romansu tych dwojga bohaterów zajmuje w spektaklu za wiele czasu. Trafnym posunięciem jest obudowanie piosenki „Money, Money, Money” tanecznymi popisami rubli, jenów, franków, dolarów i marek. Nie jest to jedy-ny odnośnik do naszej współczesności. Są i inne. Sceny mordobicia, wybrków nazi-stowskich, atmosfera grozy Berlina lat 30. nabierają nader aktualnego wymiaru w dobie, kiedy i gdzie indziej, i u nas mnożą się przejawy nietolerancji, brutalności, nienawiści do obcokrajowców.

ADAM CIESIELSKI